

ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.
Nr 425

by 281
DANIŁOWSKI G.

NAD URWISKIEM



WARSZAWA 1905. SKŁAD GŁÓWNY
W KSIĘGARNI: E. WENDE I SPÓŁKA.

2. 287 / 34

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.



a płaskiej wyniosłości, w znacznej odległości od położonego w dołach miasteczka, znajdował się sadek owocowy na klínku ziemi, zawartym pomiędzy zbiegającymi się drogami i zygzakowatą linią stromego urwiska. Urwisko to niegdyś przedstawiało ledwie łagodny spadek, porośnięty krzakami i bujną trawą, ale skoro wykryto w nim dobrą, tłustą glinę i kamień użyteczny, spustoszone zostało zupełnie.

Nagie zbocze, pełne dziur, jam, jaskiń smutnych, jakby czełuści wylupionych oczu, przedstawiało obecnie sypkie rumowisko okruchów wapniaka, co nakształt ostrych strumyków zdawały się ściekać do złomów głazów, spoczywających na dnie. Z tej strony ziemia obsuwała się powoli, tak, że wkońcu wypełzły na wierzch pokurczone sploty korzeni stojących na skraju jabłoni, a potężny krzyż z blaszanym Chrystusem, zardzewiałym i czarnym, znalazł się na samym brzegu przepaści i pochyłony rozciągał nad nią opiekuńcze ramiona.

Grunt ten należał do gminy, to też każdy spieszył z niego skorzystać i z tego powodu owoce, przedwcześnie zrywane, nie mogły dojrzeć nigdy.

W tym roku po raz pierwszy wynajął je głupi Lejba za kilka rubli.

Lejba był niegdyś sadownikiem na większą skalę, ale potem zbiedniał do tego stopnia, że od lat wielu nie tylko nie robił interesów, ale przestał nawet marzyć o geszeftach, żyjąc jak mucha okruszynami z ubogich stołów lichy mieściny.

Jedyny chałat, noszony w dnie powszednie i szabas, przeszedł już całą gamę kolorów i stał się bezbarwnym, założonym łachmanem, dobrze dopasowanym do ziemistej cery, żółto-siwego zarostu, garbatych pleców i spłowiałych oczu nędzarza, który sprawiał wrażenie zgrzybiałego starca, jakkolwiek liczył zaledwie lat 50. Stałe,

systematyczne morzenie się głodem wycieńczyło go tak dalece, że Lejba nie czuł się zdolnym nietylko już do pracy, ale nawet do jakichkolwiek żywszych pożądań.

Zrazu i instynktownie szukał pożywienia, dość jednak było mu połknąć cośkolwiek: kawał rzepy, strączek grochu lub główkę cebuli, by zapaść na resztę dnia w apatyczne, bezmyślne zdrętwienie, z którego nie była go w stanie wydzwignąć najponętniejsza obietnica zarobku. Z tego powodu Lejba zyskał opinię »niespełna rozumu«, »trochę głupiego żydka«. I w istocie, z wyniszczeniem sił fizycznych część wrodzonej inteligencji zanikła, a szczupła reszta pozostawała bezwładną w uśpieniu.

Niedołęstwo Lejby, obojętne już dla niego samego, było długo wielkiem zmartwieniem żony Ryfki, którą za czasów względnej pomysłowości zdążył zaopatrzyć w partycję dzieci.

Stopniowo jednak i ona oswoiła się ze stanem męża i pozostawiwszy go na łasce losu — wściekłem bieganiem po całej okolicy, błyskawicznie szybkimi obrotami kilkorublowego kapitału, wyławiała tę ściśle wyrachowaną dozę stawy i ciepła, która nie daje wprawdzie żyć po ludzku, ale wystarcza, by nie umrzeć.

Dzieci jednak z latami rosły, zwiększała się objętość żołądków, a kapitał zakładowy, jedyne źródło utrzymania, stał ciągle w jednej mierze. By zwiększyć dochody, Ryfka musiała ekspensować coraz więcej swoją energię, stając się niesłychanie natarczywą i zawziętą przy każdym targu.

Każda taka tranzakcyja handlowa była po prostu z jej strony szeregim rozpaczliwych wysiłków. Patrząc na nią w tych chwilach, można było mniemać, że sucha żydówka podlega atakom ciężkiej histeryi. Najuroczystsze zaklęcia na sumienie »pod chajrem«, na złamanie nóg i rąk i śmierć natychmiastową, sypały się z jej zwiedłych warg z niepomahowaną gwałtownością; wychudłe, jak szczapy, ręce latały jak w szale, oczy gorzały. Wreszcie, gdy ope-

racya została szczęśliwie załatwioną, spocona, zadyszana, wydając resztę, zwilżała językiem spiekle i głodne usta, i postępując, jakby wyczerpana zupełnie, wlokła się z koszem dalej, by przy pierwszej sposobności podnieść się na nowo. Wszystko to jednak pomagało niewiele. Ryfka tylko się rozdrażniała niepotrzebnie i jako natrętna, nieznosna szachrajka, zaczynała tracić sympatyę kundmanek.

Sytuacya stawiała się coraz tragiczniejszą, gdy naraz w lipcu, w porze największego zjazdu letników, spadły, jak z nieba, wielkie pieniądze za sprawą i w ręce głupiego Lejby.

Lejba znalazł pugilares, który wypadł turyście, drapiącemu się na górę Zamkową; w swej naiwności zapytany, czy nie widział zguby, oddał ją bez wahania, a uradowany i zdumiony tą uczciwością właściciela, ofiarował mu w nagrodę dwie pięciorubłówki.

Wieść o tem zdarzeniu rozniosła się w lot po miasteczku i złapała Ryfkę na targu. W pierwszej chwili oszołomiona przekupka omal że nie wypuściła kobiałki z jajami, aż jej się słabo zrobiło. Potem nie chciała za nic wierzyć i dopiero, gdy jej przeprowadzono tryumfalnie zestraszzonego i zgłupiałego do reszty męża, jak pantera wydarła mu z rąk zdobycz i rozplakała się ze szczęścia. Część pieniędzy obróciła na kupno kosza i towarów dla starszej córki, która miała obsługiwać letników na dole, sobie zatrzymała rewir gór, a dla Lejby »wydźwiandała« ów sadek pod krzyżem.

Był to interes ze wszech miar świetny. Z kilkunastu sztetyń można było się spodziewać do 20 pudów owocu, co przy najniższej cenie stanowiło zysk olbrzymi. Letnia schorzała gruszka i parę skarłowaciałych śliweczek, tak zwanych »kulek«, mogły zapewnić wykwintne utrzymanie dla Lejby, który miał czuwać nad całością dobytku. Słowem, jedna z najbiedniejszych rodzin podupadłego miasteczka wyrosła raptem niemal na patrycyuszów, a dla głowy dostojnego rodu — Lejby, został, niby złoty baldachim, wzniesiony

na dwóch patykach słomiany daszek, by się ani na krok poza obręb wynajętej posiadłości nie wydalał.

Lejba uroczyście obiecał, i on bowiem zaczynał już rozumieć, co za pomyślna zmiana zaszła w jego losie. Powoli, pod wpływem słońca, świeżego powietrza i lepszego odżywiania się robaczywym owocem, który, niby manna, sypał mu się pod nogi z każdym powiewem wiatru, budził się z apatii i coraz jaśniej pojmował doniosłość swojego stanowiska. Wreszcie ocknął się w nim stary zabiegliwy sadownik. Żona, która z początku dowiadywała się dość często, widząc jak Lejba skrzętnie gromadzi przed budką najdrobniejszy owoc, jak zbiera chrust w wiązki, w pęczki szczaw, że ma nawet ukryte w słomie, podniesione na drodze, spore polano, że oblicza i to trafnie przypuszczalne dochody, zaczyna się zapalać do interesów i roić o przyszłych geszeftach, uradowana i rozrzuwniona, ofiarowała mu czerstwą bułkę i spokojna oddała się całkowicie swoim kombinacjom handlowym, by wyzyskać sezon w całej pełni.

Tymczasem Lejba spędzał czas rozkosznie. W biały dzień, wiedząc, że sam widok jego obecności wystarcza, wyciągał się na trawie i drzemał, lub oddawał się marzeniom. Śniło mu się, że dzierzawi tak wielki ogród, iż żona i wszystkie dzieci muszą mu pomagać... Pali się ognisko, wędzą się śliwki na lasach — a zdrowy owoc, jak złoto, ładuje się na krypy... Płyną po falach lśniącej tam w dole Wisły, hen, aż pod most Warszawy... Tłum ludzi na brzegu, krzyki, targi, brzęczenie pieniędzy... Gwizdanie parowca rozdzierało zwykle tą snującą się przędzę powracającym wspomnieniom o rozbitym przez statek galarze, wraz z którym poszedł z wodą cały jego majątek... Lejba, wstrząśnięty, budził się i ścigał posępnym spojrzeniem sunący korytem rzeki komin i czarną smugę dymu, jak banderę nieszczęścia, które minęło, wzięło haracz boleści i chyba już nie wróci. W tym szczupłym zakresie przypuszczeń, nadziei i rozważań obracały się leniwie same jego myśli aż do zachodu słońca.

Pod wieczór obawa o całość sadu zaostrzała jego uwagę i stawał się czujny.

W jasne księżycowe noce był pewny swego dobra; na widnych szeroko polach, na białych błyszczących drogach, nie spodziewał się ujrzeć rabusia. Za to silnie go trwożyły noce chmurne i ciemne. Wówczas w szeleście wiatru po gałęziach, w chrzęście obluzowanej blachy na krzyżu, w chwiejbie krzaków, przybierających dziwaczne, zagadkowe kształty, wietrzył obecność czyhającego na jego szkodę człowieka i niepokoił się tem tylko. Obchodził swój kliniek, uderzał laską po pniach, chrząkał głośno, by dać znać, że jest i czuwa. W przypuszczeniu, że w podmiejskich ogrodach napewno w tej porze kradną, cieszył się, że jego posiadłość jest na pustkowiu, w znacznej odległości od siedzib ludzkich. Podczas ulewy i burzy nie lękał się złodziei, ale nękał go wiatr. Skulony w swej budzie, nadśłuchiwał pilnie, a każdy łoskot spadającego jabłka odbijał się bolesnem echem w jego rozżalonem sercu. Ten słaby stuk tłukącego się owocu był dlań daleko groźniejszy, niż ogłuszający turkot grzmotów, pękanie gromów i zygzaki błyskawic, rozdzierających piorunami niebo.

Po burzy zdarzało się nieraz widzieć tu i ówdzie na tle ciemnego horyzontu gorejące wysoko łuny, i przyglądał im się z martwą obojętnością, choć wiedział, że ten ogień pożerał dobytek wieśniaków. W obrębie jego męskich uczuć, po za najbliższymi, reszta ludzi, a szczególnie ci »goje« figurowali jedynie jako sprzedawcy lub nabywcy, po za interesem nie istnieli dlań zupełnie i mogliby mu się w oczach zapadać w ziemię, a on by nawet nie drgnął, do tego stopnia był mu ten żywioł zawsze zupełnie obcy, a dziś w pewnej mierze wrogi, z tej bowiem strony zagrażało jedynie niebezpieczeństwo jego drzewom.

— Friedman go raz dobrze oszukał — za to on jest sprytny i bogaty. Chaim handluje kradzionymi końmi — niech on sobie

handluje, to także interes — ale po marne jabłko taki kawał drogi najgorszy żydek nie poleci, bo on ma delikatne zdrowie i rozum... A głupi chłop — co to jemu szkodzi, kiedy on jest silny jak koń, i może nogami i rękami cały dzień machać jak wiatrak. Rozmyślał i burzył się, jak się pokazało — nie na próżno.

Przyszły chłodnawe, spokojne sierpniowe noce, tak widne, że Lejba mógł w cieniu liści podziwiać dorodność wypełniających się sztetyń. Były jeszcze zielone, ale za parę tygodni można już je było oberwać. Lejba myślał o tym dniu z najwyższą rozkoszą, miała przyjść żona i dzieci, by zdjąć ostrożnie wszystko rękami. Obrodziło niebardzo, nie więcej jak 15 do 18 pudów, ale cen za to należało się spodziewać wysokich, po dwa ruble a może i 15 złotych i podniecony cyframi Lejba począł roić o projektach świetnej przyszłości.

Tymczasem z ruin zamku stoczył się po zboczu jakby duży szary głaz, u podnóża wyciągnął się w kształt ludzkiej postaci i jasną drogą, idącą wąwozem, począł się piąć, ciężko dysząc i sapiąc.

Był to znany powszechnie niemowa, jedna z osobliwości obfitującego w różne zabytki miasteczka. Szczególny ten osobnik w zimie tylko prowadził tryb osiadły w chałupie brata, który zagarnął jego grunta, gdzie pod groźbą pięści wykonywał najordynarniejsze roboty.

Z wiosną zaczynał się dlań żywot pasterski; pędzał po krzakach bydło, nawołując je i zbijając do kupy jakimś beczeniem, podobnem do ryku cielęcia. W lecie jednak wypowiadał rodzinie posłuszeństwo i zmieniał się w wolnego koczownika. W dzień i wieczorami kręcił się koło domków letników, podziwiających go, jako prawdziwe dziecko natury, rzadki okaz pierwotnego, nietkniętego kulturą człowieka; chętnie wdawali się z nim w mimiczne rozmowy i częstowali papierosami, które ssał namiętnie. Wesole służące, do których

robił czule małpie miny, kazały mu ciągnąć z głębokich studni wodę, rąbać drzewo i nosić owoce. To też nocami niemy obierał sady co się zowie. Przyłapany na gorącym uczynku przez większe siły Izraela, przyjmował z poddaniem się odpowiednią porcję kijów, i nazajutrz opowiadał komicznie wszystkim o swoich przygodach, ilustrując dosadnymi gestami proces bicia, przyczem śmiał się jakimś idyotycznym pełnym zadowolenia chichotem. O ile się spotkał z żydem w pojedynkę, nie tchórzył, robił najstraszniejszą z swoich min i, jak człowiek z epoki łupanego kamienia, wydobywał z za pachy odłamek głazu, którym groził prawie zawsze skutecznie.

Żydów wogóle nie lubił, i to wcale nie za te odebrane razy, ale tak poprostu, jakby nasiąknął miazmatami niechęci, krążącymi w jego otoczeniu. Na określenie tej rasy miał kilka stałych gestów: świderkowate ruchy palców koło skroni, mające wyobrażać pejsy, liczenie na dłoni pieniędzy i pokazywanie wizerunku męki pańskiej Chrystusa, o co każdego żyda posądzał.

Kalektwo tego paryasa nie musiało być zupełne, miał on bowiem pewne pojęcie o dźwiękach i był zdolny do wydobywania z siebie niektórych głosów. Przy całem upośledzeniu umysłem niepodobna go było nazwać kompletnie głupim. Niemowa posiadał pewną dozę sprytu i zmysł obserwacyi, wyróżniający się w ujmowaniu charakterystycznych cech rzeczy, które świetnie oddawał mimicznie. Słowem, przy bliższem poznaniu zyskiwał. Ale na pierwszy rzut oka, przez odrażającą płaską twarz, porosłą jakby szczecina, głupkowaty uśmiech, nie schodzący z jego wywiniętych warg i ustawiczne sapanie sprawiał wrażenie potwornego krety. Przyczyniał się do tego niewątpliwie strój, a raczej brak stroju, który dopiero kompletował się w ciągu lata z łaski letników w nader oryginalne kombinacje.

Obecnie niemy miał na sobie podarte kalesony, gorsową zmiętą koszulę, podpasaną sznurkiem, stary pozbawiony guzików

surdut bez jednej poły, która została na kołcach tarniny i obszerne wyrudziały melonik, noszony z dumą i fantazją.

Tak wyelegantowany, otrzymawszy zamówienie od poci pięknej, na której wdzięki — niezrażony absolutnym brakiem powodzenia — był bardzo wrażliwy, dążył śmiało do sadu »swojego«.

Lejba, zatopiony w marzeniach, nie słyszał stąpania bosych nóg i dopiero szamotanie się gałęzi, które niemy obdzierał wraz z liśćmi z owoców, wstrząsnęło nim do głębi. Struchlał, poznawszy rabusia. Niemowa również się zdziwił i, uważając go za współtowarzysza wyprawy, wskazywał mu życzliwie drugie drzewo, przy czem uśmiechał się całą szerokością obrzydliwej gęby.

— Ty złodziej, ty rozbójnik, to mój sad! — zapominając o jego kalectwie, trząsł się z gniewu Lejba — a w końcu, opamiętawszy się, pokazał mu kij i daszek.

Niemy zrozumiał — skurczył twarz jak paszczę buldoga, wyciągnął z zanadru ostry kamień i, bujając go w rękę, celował w głowę Lejby.

— Buuch! — stęknął, naśladując głosem uderzenie, a całą postacią ruch padającego martwo ciała, zaśmiał się parszkającym chichotem i robił swoje.

Lejba wił się z żalu i bezsilnej wściekłości.

— Idź — ty, idź! — szlochał, targając niemowę za postrzępiony rękaw coraz śmieiej i mocniej. Niemy opychał pazuchę i kieszenie, a mając już pełno, począł wesoło zwijać kosmyki włosów na podobieństwo pejsów i, wydłużając brodę, naśladować i droczyć się z żydem.

Gdy chciał odchodzić, Lejba kurczowo przytrzymał go za połę. Wnętrznosci mu dygotały z rozdrażnienia, mięśnie twarzy wzdrygały się, wyschło gardło. Latającemi jak w febrze rękami, odwołując się w ostatniej rozpacz do miłosierdzia cudzego Boga, wskazał niememu wizerunek Chrystusa.

Niemowa spoważniał, rozkrzyżował ręce, przebił dłonie i szturchając palcem Lejbę w piersi dał mu do zrozumienia, że to on właśnie jest sprawcą tej męki. Pokręcił zgorszony głową, zasapał z oburzenia i, pokazawszy połą zmiętą w kształt świńskiego ucha, oddalił się, bełkocząc. Lejba usunął się na stronę; czuł się jak strатовany kopytami dzikiego zwierzęcia. Szkoda nie była zbyt wielką, ale desperacka myśl, iż może się co noc powtarzać, rozpuszczała po nerwach wszystkie drgawki bóleści, rozsadzała mózg i szarpała serce. Lejba chwycił się za głowę, wstawał i chodził w zatoki między drzewami, miotał głośnie przekleństwa, wygrażał przestrzeni pięściami, padał na trawę i darł, jak szponami, chłodną ziemię.

Nazajutrz, korzystając z deszczu, który spędził nienawistnych ludzi z pola, pognął do miasteczka. Ryfki nie zastał. Przeprowadził się za Wisłę po kurczętą. Kupił kilka papierosów, paczkę pierników i wrócił bez tchu do pozostawionego bez opieki sadku, gdzie jak lis, przez psy osaczony, ze zgryzotą zaszył się na cały dzień w budę.

Pod wieczór wypogodziło się. Szary całun, zasnuwający niebo, związał się w obłoki, które płynąc, to odsłaniały, to zakrywały fałdzistą kotarą owal księżycy, wprowadzony niby złoty witraż w błękitną kopułę olbrzymiej świątyni. Wiatr szedł górą, ziemię otulał spokój i uroczysta cisza.

W łagodnym rozlewie melancholijnego światła widniały szeroko rozpostarte przestrzenie pól, srebrzące się tu i ówdzie grzebieniami ściernisk, spadająca skrętami w dół, niby lśniąca szarfa, biała droga, poszczerbione fantastycznie mury ruin i w matowym pancerzu uśpiona Wisła z przypartymi do brzegów plamami tratw, na których płonęły milczące ogniska. Z daleka, jak niepojęte stłumione wyrazy, rzewne i serdeczne, nadlatywały tajemnicze szmery bujających zbóż, trwożne szepty liści wzdychających drzew.

Zachwycający był kraj, jak tęskny obraz wyjęty z marzeń,

co śnią się wzruszonemu sercu w smutnej godzinie uwielbień nie-poznanego Boga, w samotnem zamyśleniu, które jest Jemu modlitwą.

Ale na wieki wieków od wszelkiej rozkoszy wyklęty żyd, całkowicie na pastwę nędzy wydany, zupełnie obojętny na te uroki, wypatrywał tylko swą krzywdę, czającą mu się w każdym cieniu, w każdym szeleście cudownej nocy.

I krzywdą tą skradała się ku niemu upośledzona, ciemna, ze szczęścia wyzuta.

Lejba, ściskając kurczowo kij, usta, a najzawzięciej uczucia, rozróżniał już bełtające się łachmany, które niby skrzydła nietoperza trzepotały się wokoło zbliżającej się postaci.

Żydowi zadrgała nerwowo wystająca grdyka; gardło kaleczyła ostra gorycz, przeszył go dziki dreszcz: wystąpił z ukrycia i spotkał się z napastnikiem pod krzyżem.

Na dystansie paru kroków zatrzymali się obaj i fiksowali się zakłętymi oczyma.

— Na! — syknął wreszcie Lejba, pokazując papieros.

Niemu, zaskoczony po raz pierwszy datkiem ze strony żydowskiej, zdziwił się na razie, a potem łaszczącym się ruchem podłeciał zgiętymi w kolanach nogami i przyjął dar łapczywie. Lejba, cofnąwszy się na skraj urwiska, podał osłoniętą dłonią siarnik. Niemowa zapalił, przykucnął i począł ssać dym.

Chmury otoczyły księżyc; zrobiło się o tyle ciemno, że Lejba widział tylko w żarzącej się centce wzdęte wargi i koniec nosa swego wroga.

Zdjął go jakiś zabobonny lęk i niepokój. Zmienił zamiar i jał, giestykulując gorączkowo, przedkładać, że w sadach podmiejskich są znakomite owoce i tam je kraść właśnie należy. Niemowa potakiwał, pokazywał na migi, jak je obrywa, pożera, cmokał z lubością ustami, głaskał się po brzuchu, wtajemniczał żyda w roz-

maite sposoby podłożenia pod parkan, opowiadał jak go biją sadownicy i rechotał wstrętnym chichotem. Zawiązała się dziwna, bez głosu, głucha, przyjacielska prawie gawęda.

Poczuli się tak bliscy, że gdy niemy, schłonawszy do munsztuka tytoń, splunął, wstał i podsunął się do sadku, a Lejba odruchowo zastąpił mu drogę, obaj zdumieli się na chwilę i spoglądali na siebie z niedowierzaniem i jakby zawodem.

Struny, nastrojone tylko co harmonijnie, opornie i z pewnym trudem napinały się, by wydać bolesny dysonans.

Niemowa, ociągając się, machinalnie wydobył swój kamień.

Lejba, niejako z obowiązku, niechętnie podniósł kij i dopiero w zamachu zgrzytnęła w nim mściwie zawziętość. Mierzył w głowę, ale niezgrabnem uderzeniem trafił w rondo melonika i strącił go w wąwóz.

Niemy, którego całą dumą był ten kapelusz, zawył z żalu; złapał oburącz drugi koniec pałki i poczęli się wodzić nad brzegiem urwiska.

Siły ich były jednakowo bezdarmne i słabe. Drąg chodził niemrawo, leniwie, niby tłok w pracującej resztkami pary popsutej maszynie. Słysząc było przyspieszone sapanie niemego i świszczący oddech zapadłej piersi żyda.

Pierwszy szarpał się gwałtownie, nieprzytomny z wściekłości; rozważniejszy, choć również dygocący z rozdrażnienia, Lejba w odpowiedniej chwili puścił kij.

Niemowa się zatoczył, zatrzymał się o krzyż i rzucili się na siebie z gołemi rękami.

Poczęły się zmagać śmiertelnie dwa bezsilne niedołęstwa, dwie nędze kaleckie.

Chwilami zdawało się, że to się pasują po nocy wywleczone z mogił rozkładające się trupy, że się oplatają wstrętne kikuty zbutwiałych członków, chrapią i rżęzą dziurawe zaropione płuca,

bełkoczą pożarte strzępy języków, chrupie próchno kości, miotają się zgniłe szmaty łachmanów.

W furii potwornej walki rozjuszyły się wszystkie plemienne urazy, poruszył się zatruty osad wieloletnich podjudzań i jak zjadliwe robactwo podniecał nienawiść.

Niemowa starał się wyrzucić pejsy »parszywemu żydowi«, Lejba — zdusić zawsze obcego a teraz przekłętego »goja«.

Co moment poślizgiwał się to jeden to drugi i chwytając się krzyża, odzyskiwał równowagę. Raptem urwała się pod nimi ziemia, zawiśli na chwilę obaj, trzymając się zbawczego słupa, gdy nagle wychybotany w bójce krzyż wyważył się i zwałił się całym ciężarem. Koziołkując runęli, zadzwoniły kamienie, stęknęła ziemia, potoczyły się dwa ciała i nieruchomo leżyły bezkształtne i szare, jak głązy.

Krzyż sunął się po zboczu z szorstkim szelestem sypiącego się żwiru, aż się zatrzymał na jakimś występie, pękł w górze z głuchym traskiem i cały wierzchołek z łoskotem zleciał na dno...

Bogatemu w stare zabytki, z dnia na dzień podupadającemu miasteczku, przybyła znowu osobliwość.

Dziwnie przełamany krzyż nad stromem urwiskiem.

Ustawiony na nowo — bez blachy Chrystusa, który się gdzieś zapodział, i górnej części — wyglądał jak wielka dwuramienna szubienica.

Patrząc na te rozpięte na pustkowiu czarne złowrogie belki, niepodobna się było oprzeć wrażeniu, że jest to jakiś fatalny znak groźby lub przestrogi.

Nie jeden przechodzień nad nim się zastanawiał, a ktoś nieznanym, skłonny widocznie do uogólnień, zaopatrzył go nawet w napis:

...Wyniszczonych, niedołączonych, pozbawionych głosu, przez los obdartych nędzarzy wyrok dziejów sprowadził nad straszne urwisko.

Grunt się osuwa pod nogami, oparcie stóp przepaść chłonie — a oni zamiast wzmocnić się, zabezpieczyć i w pojednaniu spożywać wspólnie dojrzały owoc z drzew ojczystych — w szale walki i zaślepieniu nienawiści wyważają ostatnią podporę: święty symbol miłości, przeobrażają go w godło obustronnej hańby, z którą znienawidzeni toczą się w przepaść na wieczną zagubę...

Słowa te szybko zostały zatarte i dzisiaj tylko wichry jesienne, ciągnąc nad tą bolesną szczeliną ziemi, wygrywają czasem na węglach sterczącego samotnie drzewa melodię tak ogromnie smutną, jak ów chorał, w którym płonie pożoga, nasiąknięta dymem i kurzawą krwi. Głos bije, wznosi się i błaga Pana, by karał występne ręce — nie miecz bez win.

Posepne niebo milczy, a ludzie, oðurzeni zgiełkiem targowisk życia, tonów hymnu nie słyszą.

Komu więc go wiatr śpiewa?... Któż zgadnie!



